

KAROLINA ZDYB

PAN MICKIEWICZ I TATARZY

CZYLI
KRYMSKIE OPOWIEŚCI



Rozdział II

Żaden cudak! To jest Sudak!

2a. Krymskie fury

Autonomiczna Republika Krymu to dziwny twór. Mimo że głową państwa jest prezydent Ukrainy a językiem urzędowym ukraiński, to jednak mówienie w nim jest tu nietaktem – w użyciu jest rosyjski. Większość mieszkańców stanowią Rosjanie. Ukraińcy są dopiero na drugim miejscu. Ponadto Krym ma swojego premiera, konstytucję, godło i flagę kolorystycznie podobną do rosyjskiej. Mieszkańcy zaś nie przepadają za swoim ukraińskim prezydentem i są źli na parlament, że każe im płacić podatki, które potem w niewielkim stopniu wracają pod postacią inwestycji na półwyspie. Dlaczego więc Krym należy do Ukrainy, skoro Krymczanie tak bardzo nie lubią władz w Kijowie i na każdym kroku pokazują swoją rosyjskość?

Wszystko to sprawka Chruszczowa, który w 1954 roku był pierwszym sekretarzem KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. On to właśnie, nieświadom późniejszych konsekwencji swojego czynu, przekazał wtedy półwysep Krymski Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej.

- Do Ukrainy należeć nie chcę – powiedział Krym kilkadziesiąt lat później, kiedy ZSRR się rozpadło. Wnet pochwycili to mieszkańcy i przeprowadzili referendum, w którym prawie wszyscy opowiedzieli się za autonomią półwyspu.
- Co to to nie! – zakrzyknęła Ukraina, lecz widząc że niewiele wskóra przyznała Krymowi autonomię mocą ustawy parlamentu uchwalonej w 1992 roku. Potrzeba było jednak jeszcze trzech lat, żeby Autonomiczna Republika Krymu pełnoprawnie mogła pojawić się na mapie świata.

Do Symferopola – stolicy tego dziwnego tworu, zawitaliśmy po kilkudziesięciogodzinnej plackartowej podróży i nie zostając tu nawet kilku godzin, od razu

wsiedliśmy w autobus jadący na południe do miejscowości Sudak. Byle jak najszybciej nad morze.

„Śpiesz się powoli” – mówi przysłowie. Po półgodzinnej jeździe coś w naszym pojeździe zaczęło dymić i smród spalenizny zaczął wdzierać się do środka. Kierowca zatrzymał się i po opukaniu, ostukaniu i obejściu w koło autobusu stwierdził, że dalej nie pojedzie. Nie było rady. Trzeba było wysiadać.

„Może zaraz podstawią jakiś inny gruchot, który dozipie do Sudaku?” – zastanawialiśmy się zrozpaczeni, że w takim tempie to do jutra nie dojedziemy. Po chwili jednak pojawiła się marszrutka (czyli po prostu ukraiński bus), której kierowca zaoferował, że zabierze dziewięć osób. Chętnych było sporo, ale Marek pokonał wszystkich krzycząc głośno:

– Nas jest siem (siedem) osób, nas jest siem i nie możemy się rozdzielić. Musisz nas zabrać wszystkich razem – po czym nie namyślając się długo władował duży plecak do bagażnika dając do zrozumienia, że łatwo nie odpuści. Bezradny kierowca machnął ręką i zabrał całą siódemkę i jeszcze dwie dziewczyny.

Lepiej trafić nie mogliśmy. Za oknem wzgórze, a u ich stóp winorośle. Samochód piął się w górę coraz bardziej krętą drogą, a my przez szyby podziwialiśmy piękny krajobraz. Wszystko to w połączeniu z krymską muzyką lecącą z magnetofonu powodowało, że czułam się jak bohaterka filmu „Pod słońcem Toskanii”, tyle że w trochę innej części Europy. Kto by jednak zwracał uwagę na takie szczegóły.

2b. Wszędzie ten Lenin

– W którym miejscu mam was wysadzić? – zapytał kierowca, kiedy dotarliśmy do miasta.

– Gdzieś w centrum – odpowiedział po rosyjsku Marek.

– A dokładniej?

– Najwięcej tanich kwater można znaleźć na ulicy Lenina – przeczytaliśmy w przewodniku.

– To może na Lenina? – zaproponował Marek

– To jest długa ulica. Powiedźcie gdzie dokładnie – nalegał szofer.

– Nie za bardzo wiemy. Dopiero mamy zamiar znaleźć jakąś kwaterę...

– Kwatiry? Szukacie kwatiry? – ożywiła się w pewnym momencie jedna z jadących z nami

Ukrainek – Teraz łatwo nie znajdziecie. A na jak długo chcecie?

– Na dwa, góra trzy dni – włączyła się Jaga.

– O, to będzie kłopot, bo na tak krótko w sezonie nie chcą wynajmować. Możecie spróbować w hotelu. Jest tani, turystyczny. Pokażemy wam gdzie się znajduje – poradziła dziewczyna a kierowca bez protestów pojechał pod wskazany przez nią adres. Tym sposobem wylądowaliśmy na Lenina.

Zaczęłam zastanawiać się, czy w Sudaku wszystko mieści się na tej ulicy. Tymczasem pożegnaliśmy się z kierowcą, a Wiola z Markiem poszli na zwiady do hotelu, który mimo swej klasy turystycznej okazał się zbyt drogi jak na naszą kieszeń.

Siedliśmy więc na osławionej ulicy Włodzimierza Iljicza czekając na dwójkę naszych, którzy kontynuowali poszukiwania jakiegoś noclegu. Nadzieja na znalezienie czegoś pomału nas opuszczała. Zaczęliśmy snuć plany dotyczące spania na plaży, gdy niespodziewanie zjawił się jakiś człowiek i zaoferował nam pokój. W tym czasie wrócili „poszukiwacze zaginionych kwater” z dobrą nowiną, że mamy miejsce, w którym spędzimy dzisiejszą noc, a nawet dwie następne jeśli zechcemy. I to nie było gdzie, bo w trzech pokojach, w miłym otoczeniu, z kuchnią i prysznicami. Mało tego, każdy miał dostać swoje własne, osobiste łóżko! I tu uwaga: Z PODUSZKĄ! Hurra! Żadnych karimat!

Podziękowaliśmy grzecznie panu i pognaliśmy w stronę superfajnej kwatery.



Stróż naszej kwatery w Sudaku

2c. Oblężenie

Popierwszych zachwytach trzeba było zapoznać się z miastem bliżej. Rzadko trafia się bowiem okazja do przebywania w miejscowości, która istniała już w 212 roku. Taki stary jest właśnie Sudak a nazwę nadał mu lud indoirañski Alanowie, którzy założyli tu osadę. Potem przez miejscowość przewinęli



Twierdza Genueńska w Sudaku

się Bizantyńczycy, Chazarowie, Genueńczycy, którzy zostawili po sobie twierdzę, Turcy, Rosjanie. Teraz żądzą w nim turyści i liczni miłośnicy nocnych klubów oraz zabawy do białego rana. Bo w Sandaczu (to po rosyjsku właśnie oznacza nazwa Sudak) trwa jedna wielka, nieustanna impreza. Wzdłuż prowadzącego do plaży deptaka porozstawiane są niekończące się rzędy stoisk pełnych świecidełek, duperek, pamiątek, tandety i wszystkiego tego, co jest człowiekowi niepotrzebne, ale co koniecznie musi mieć. Przypomina to stragany na odpuście, które wieczorem



Na murach Twierdzy Genueńskiej (Fot. KW)

znikają, by zrobić miejsce knajpkom, gdzie można zjeść „najprawdziwsze krymskie jedzenie” dla naiwnych przybyszów z innego świata oraz potaćzyć przy dźwiękach kłującego w uszy rosyjskiego umca umca. Jednym słowem gwar, huk i świecąca tandeta. Mimo to warto być tu trochę i poczuć się jak nowobogacki rosyjski turysta (tyle, że bez złotego zęba).

Po zaznajomieniu się nocnym życiem i tutejszą pizzą następnego dnia przyszedł czas na zobaczenie bardziej zabytkowej części miasta. Ruszyliśmy forsować Twierdzę Genueską. Naszym orężem były plecaki zaopatrzone w zapas wody i żywności oraz wygodne buty do skakania między basztami. A baszt było pod dostatkiem. Całe czternaście. Do tego meczet, ruiny kościoła, zamek konsula i jeszcze kilka kamiennych budowli. Wszystko ogrodzone dwukilometrowym murem o grubości dwóch metrów i wysokości ze czterech sporych mężczyzn. Forteca nie do zdobycia. Do tego na wzgórzu nad samym morzem. Takie to miasteczko wybudowali sobie Genueszczycy kiedy w XIV wieku przybyli na te tereny otrzymawszy je od Wenecjan za zgodą Tatarów.

Dziś do twierdzy zawitaliśmy my. Jak przystało na gości z zagranicy weszliśmy do środka głównym wejściem, przy którym za opłatą można było odziać się w stroje z epoki i sfotografować na tle murów. Podziękowaliśmy jednak za taką przyjemność, gdyż twierdza nie do końca była zrekonstruowana i nie chcieliśmy być posądzeni przez znajomych z Polski o bycie właścicielami jakiejś walącej się rudery na Krymie. Poza tym nie było czasu na przebieranki, bo pierwsza baszta już na nas czekała. Potem druga, trzecia i czwarta... Zrobiliśmy Twierdzy Genueskiej



Widok z Twierdzy na morze Czarne (Fot. KW)